

nie była tajemną, pragnął dowiedzieć się czegoś pewnego o przeszłości Piotra, z tego więc powodu starał się ująć sobie Filipa Glenmoura i nadskakiwał mu, oprowadzając go po rozległej posiadłości ziemskiej Zahajce. Pewnego ranka wybrali się razem we dwóch do lasu. Czas był cudny, chociaż powietrze dość chłodne, jak zwykle w naszym kraju w pierwszych dniach wczesnej jesieni.

— O ile wiem — rzekł Wielogrodzki — jesteś pan przyjacielem przebywającego u nas chwilowo młodego artysty.

— Tak — odparł Amerykanin — i szczerę się jego przyjaźnią.

— I znasz go od dawna?

— Mniej więcej lat osiem. Gdy go poznałem, mógł mieć najwyżej rok czternasty.

— Liczy więc obecnie zaledwie dwadzieścia dwa. Ależ to dzieciak!

— Genialny dzieciak, chciałeś powiedzieć, bo nie ulega wątpliwości, że wkrótce stanie w szeregu mistrzów.

— O, o, panie Glenmour, zdaje mi się, że trochę przesadzasz.

— Głęboko jestem przekonany, że czekają go w przyszłości nadzwyczajne, światowe tryumfy. Portret panny Zofii to istne arcydzieło.

— Przyznasz pan, że śliczny model przyczynił się niemało do podniesienia wartości i uroku malowidła. Miał szczęście, że chciała mu pozować.

— Nie widzę w tem nic dziwnego, oboje są młodzi i piękni, więc lgną do siebie, jak to mówią polscy chłopcy.

— Otóż tego właśnie się lękam, bo zgodzisz się chyba, że pan Piotr nie jest odpowiednią partią dla przybranej córki mojej ciotki.

— W dzisiejszych czasach różnice społeczne wyrównywa prawdziwy, wielki talent; ten zaś nasz młody artysta posiada. Nadto majątek i urodzenie nie są głównymi warunkami szczęścia w pożyciu małżeńskim. Dają je tylko prawe charaktery i wzajemna miłość, na szacunku oparta.

— Pan należysz do czasów i szkoły romantycznej — rzekł Jerzy, uśmiechając się złośliwie. — „Z pałaców, sterczących dumnie, zejdź luba do mojej chatki...“ Tak było może niegdyś; dziś do szczęścia potrzeba dobrobytu, a nawet zbytku. A przytem, czy sądzisz, że księżna zgodzi się wydać Zosię za biednego malarczyka, o którym nikt nie wie, kto go rodzi i skąd pochodzi?

— Urodził się na warszawskim bruku.

— A jego ojciec i matka?

— Nie pytałem go o nich nigdy.

— Tym sposobem sprowadziłeś pan do domu cioci człowieka, którego pochodzenie jest ci zupełnie nieznane?

— Znam go samego, a to mi zupełnie wystarcza.

Odpowiedź była sucha, stanowcza i kategoryczna.

Jerzy pojął, że dalsze badanie na nicby się nie przydało; w duszy zaś pomyślał sobie: „No! i w tym dobronudnym facecie mieć będę prawdopodobnie zażartego przeciwnika“. Czuł, że przyszłość, o jakiej marzył, pokrywa się czarnymi chmurami, że za żadną cenę nie pozyszcze miłości Zosi. Co zatem począć? W jaki sposób ją zdobyć? Cofnąć się nie myślał, dopokąd nie wyczerpie wszelkich środków, jakie mu podyktuje chciwość, duma i pewność siebie.

Wtem między krzakami leszczyny ujrzał naprzeciw siebie stryja i Zosię, opierającą się na ramieniu Piotra.

— Nareszcie spotykamy panów — zawołał ksiądz Jan z poczciwym uśmiechem na ustach. — Pół godziny was szukamy. Zosia nas wiecie po jej tylko znanych ścieżkach, przez ciernie i głogi...

— Ksiądz Wielogrodzki, zawsze na mnie łaskaw, widząc, że zmęczona, prosił pana Bułata, żeby mi podał ramię...

— Pozwolisz, panno Zofio — rzekł Jerzy, mierzając artystę nieprzyjaznym wzrokiem — że ja cię teraz poprowadzę...

— Och, obecnie, na gładkiej drodze, nie potrzebuję niczyjej pomocy. Pójdę sama, o własnych siłach.

Po tych słowach zapanowało głucho milczenie. Zmęczona przechadzką gromadka — wróciła do pałacu.

Po śniadaniu ksiądz Jan z Glenmourem udali się na partię karambola do bilardowego pokoju; Piotr do wielkiej sali, którą dekorował; Zosia do swojej sypialni na pierwszym piętrze; księżna zaś do salonu, gdzie po chwili wsunął się Jerzy.

— To ty? — rzekła, zdziwiona nieco jego widokiem.

— Nie oczekiwałaś mnie cioteczko?

— Powiem szczerze, że ciebie najmniej się spodziewałam... prędzej Zosi. Lecz i ona teraz często mnie opuszcza, musi bowiem robić honory domu i towarzyszyć naszym miłym gościom w ich pielgrzymkach po polach i lasach...

— Zosia jest niewdzięczną. Zresztą łatwo się domyśleć, że mam czem innem, nie tobą, głowę nabiła...

— Chciałeś pewno powiedzieć, że zajmuje się obrazami, które pan Bułat maluje, Nie dziwię się jej wcale i nie mam tego za złe, obrazy są ładne, a ona posiada wielkie poczucie piękna.

— Nie dziwisz się zatem także, że rozkochała się w artyście...

— Skądże ty wiesz o tem?

— Skąd?!... mniejsza, dość, że wiem. Pan Glenmour, przyjaciel stryja, bo nie żałuje, dyabli wiedzą w jaki sposób zdobytych, pieniędzy na cele dobroczynne, nie zna rodziny Piotra. Nie wie wcale skąd pochodzi i kto go rodzi...

— A cóż to nas obchodzić może?

— Mówisz ciociu tak, jakbyś nie kochała panny Zofii.



...spotkał Zosię w parku, powracającą z kościoła.

— Przeciwnie, kocham ją bardzo. Nie mogłabym rodzonej córki kochać więcej!... Być może, że pan Piotr Bułat jej się podobał, że sobie nim nawet trochę zawróciła głowę, lecz przecie nie pójdzie za mąż bez mego zezwolenia, a ja go nie udzielię, dopóki się nie dowiem, kim jest młodziwiec, jak się prowadzi i jaką jest jego najbliższa rodzina...

— Zosia, gdy zechce, potrafi wyprowadzić cię w pole... a ty oddasz ją temu człowiekowi.

— Dlaczego jednak, powiedz, jeśli jej nie kochasz, zajmujesz się tem wszystkim tak bardzo? Gdy ci powiedziałam, jak byłabym szczęśliwą, gdybyś się z nią ożenił, odepchnąłeś moją propozycję z niechęcią i oburzeniem, więc jeśli ona kocha innego, nie masz dziś nic do powiedzenia, nie powinieś mieszać się do sprawy, która cię nic a nic nie obchodzi.

— Ależ, ja ją kocham! — zawołał Jerzy.

— Nie, nie! nie kochasz jej wcale.

— Kocham... Już nawet wyznałem Zosi moją miłość...

— Więc nie przeraża cię jej nazwisko?... hańbiący wyrok, skazujący jej ojca na ciężkie roboty

na Syberyi jest ci obojętny?... sądzisz, że to małżeństwo nie poniży cię w oczach ludzkich i nie splami twego honoru?... Nie, nie! Nie chcę wierzyć w to wszystko, więc lepiej przerwijmy rozmowę, która mnie irytuje i udręcza.

— Powtarzam ci cioteczko raz jeszcze, że ją kocham.

— Kłamiesz!

— Nie kłamię. Pokochałem Zosię nagle, nie spodzianie... może pobudzony zazdrością...

— I poślubiłbyś ją pomimo dramatu, rzucającego cień na jej rodzinę?

— Wezmę ją za żonę pomimo wszystkiego.

— Oh, Jerzy, Jerzy! Jeśli mówisz prawdę, szczęście moje byłoby bez granic — mówiła księżna, rozpłomieniona radością — nie miałabym już o co więcej Boga prosić! Połączyć was oboje było moim jedynym celem w życiu... Więc powiadasz, że ją kochasz?... Dobrze, dobrze! ale teraz odejdź... Muszę się z nią widzieć i wszystko jej powiedzieć, a ponieważ nie wątpię, że uczucie twoje podzielone jest przez Zosię, od dziś dnia uważać was będę za narzeczonych.

## IX.

Księżna zadzwoniła na pokojówkę.

— Idź na pierwsze piętro i poproś pannę Zofię, żeby tu przyszła.

Po chwili drzwi się rozwarły i Zosia wbiegła do salonu.

— Przepraszam, moja droga, że po ciebie posłałam, ale właśnie deszcz padać zaczął, więc prawdopodobnie nie pójdziesz na spacer — rzekła matrona, wskazując na otwarte okno, za którym rzęsiste krople dżdżu spadały, szeleszcząc, na jesienne kwiaty — praca zaś młodego artysty nie może cię już także interesować, bo ją ukończył i dziś jeszcze opuszcza Zahajce.

Dziewczę przymknęło powieki, a twarz jej pokryła się woskową bladeścią.

— Dziwnem ci się pewno wydaje, że dość długim wstępem poprzedzam to, co chciałam ci powiedzieć — mówiła dalej księżna, spostrzegłszy, że Zosia nagle poblądła — lecz, ukochane moje dziecko, chodzi tu o twoją przyszłość, która zarysowuje się świetnie... świetnie może, niżbyś wymarzyć mogła...

Zosia milczała.

— Czy się nie domyślasz, jak ważną wiadomością mam się z tobą podzielić?

— Niczego się nie domyślam.

— Jakto?... więc nie zauważyłaś dotąd, jak bardzo jesteś kochaną przez Jerzego? Nie dostrzegłaś, że oddając mu swoją rękę, uczynisz go najszczęśliwszym z ludzi?

— Jerzy mnie nie kocha... i ja nie kocham hrabiego Jerzego — szepnęło dziewczę spokojnie i stanowczo.

Księżna stała chwilę milcząca, jakby piorunem rażona.

— Nie kochasz Jerzego?

— Nie, pani i dobronudziejko moja.

— Ależ on cię ubóstwia... i tylko o tobie myśli! Jedynym jego marzeniem jest dać ci nazwisko Wielogrodzkiej, które tak wysoko cenimy... które, jak wiesz, jest jednym z pierwszych w Polsce. Celem mojego życia było wasze małżeństwo. Jako żona mego synowca połączysz się z nami na zawsze... zacieśnisz węzeł serdeczny, jakim związaliśmy się z tobą... tak ja, jak i mój brat, ksiądz Wielogrodzki. Odpychając zaś moją prośbę... przyznaj... składasz dowód niewdzięczności za naszą życzliwość, niemal rodzicielską, za nasze starania i opiekę, jakimi otoczyliśmy cię oboje.

(Dokończenie nastąpi).